

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

9

— Tak pani prezesowa uważa? — wycodziła słodko-cierpkim tonem matka piegowatej pannenki. Ostrzej protestować nie śmiała wobec przewodniczącej czterech stowarzyszeń filantropijnych, opiekunki dwóch ochronek, organizatorki wszystkich urządzanych w powiatowym mieście Łykowie festynów, przedstawień amatorskich, żywych obrazów i „kwiatków” dobroczynnych. Od niej zależało, czy Micia będzie brała udział w tem lub owem przedstawieniu, czy wystąpi w żywych obrazach, czy wreszcie podczas „kwiatka” lub innej „zbiórki” nie zostanie pominięta.

— Naturalnie, że tak uważam! O! Szykowna! Wcale szkodliwa!... I buziak bardzo!... bardzo!...

— Hm! Ja powiedziałabym, że trochę pospolita, jakby ordynarna...

— Ona, zdaje się, maluje usta — wtrąciła panna Micia, oblizując co chwila wargi.

— Gdzie zaś!... Widać nie przyjrzałyście się jej, moje panie. Już ja wam mówię, że ładna!... i pikantna!... To jest coś, co się podoba mężczyznom. Takiej mi było właśnie potrzeba!

— Jakto, pani prezesowo?

— No, wiosna zaczyna się... Trzeba będzie za dwa, no najdalej już za trzy tygodnie urządzić pierwszy dzień „kwiatka”... A nasi panowie zepsuli się, zmateryalizowali — nie chcą nic dawać!... Trzeba na gwałt jakieś nowej, ładnej buzi...

— Ależ pani prezesowa nie zamierza chyba...

— Właśnie, że zamierzam zaprosić tę młodą Żarnicką do współudziału... Moja pani, taka uroda, to gratka dla naszego komitetu!...

— Zważywszy jednak, że przeszłość tej pani...

— Jaka tam przeszłość!... Toż to jeszcze smarkata! Zresztą, jeżeli on się ożenił, to co to kogo obchodzi, co między nimi było...

— Ona sama może nie zechce... Przecież Żarnicki jest przy wojsku...

— No, to właśnie! Będzie zbierała na sieroty wojenne — zdecydowała prezesowa. — Muszę zaraz jutro rozpisać zaproszenia... Najbliższe posiedzenie w poniedziałek!... Kraków już miał trzy „kwiatki”, Tarnów dwa, a my nic!... To wstyd!...

Okienko ekspedycji pocztowej otwarło się ze stukiem. Józia podała list.

— Proszę, ten list polecony i proszę o trzy marki po dziesięć i o dwie po pięć halerzy.

Wysunęła się wąska, sucha, nerwowa ręka o długich, smukłych palcach.

Larchówna podniosła głowę, obciążoną bogactwem hebanowo-czarnych włosów i spojrzała na Józję swoimi wielkimi, głębokimi, niespokojnymi oczami.

Przy świetle dziennem i bez kapelusza, twarz urzędniczki wydawała się starszą, bardziej mizerną i zmęczoną. Dobitniej odznaczały się sine kręgi pod oczami i jakieś ciemne plamy na skroniach. Wyraźniej rysowały się podłużne brzozy koła nosa i ust, ładnie wykrojonych, ale przywędłych i spieczonych, jakby ustawiczną gorączką.

Ale oczy — ogromne, czarne, piękne i mądre oczy — świeciły mocno niezwykłym blaskiem w tej twarzy przedwcześnie postarzałej, po której życie śnać nie przesunęło się miękkim, delikatnym dotknięciem, ale ją przeorało szorstką, brutalną łapą.

Larchówna wzięła list od Józji. Zanim jednak nalepiła nań etykietkę „polecony”, wpatrzyła się w młodą mężatkę daleko dłużej i uważniej, niżby należało.

W wzroku jej nie było niechęci — było tylko wielkie zaniepokojenie i z jakimś przyjaznym odzieniem.

Jednakże Józia pod tem wejrzeniem zarumieniła się, zmieszała. Zrobiło się jej niemilo i jakoś nieswojo, tak nieswojo, że najszybciej wręczyła pieniądze i zamierzała zaraz odejść.

— Ależ, proszę pani, niechże pani zechce poczekać, aż napiszę receptę i wydam resztę — odezwiała się Larchówna.

W tonie tych słów, wypowiedzianych niskim, metalicznym głosem, zadźwięczało trochę ironii, ale raczej smutnej, niż złośliwej.

Wymowne oczy dopowiedziały: „Czegóż tak uciekasz? Niepotrzebnie mnie się boisz, bo ci nic złego zrobić nie chcę”.

Józia zawstydzona się swego dzieciniego zachowania. I w tem zakłopotaniu zrobiła śliczną, potulną minę grzecznej, spłoszonej dziewczynki. W ognistych źrenicach Larchówny zamigotał miękki, trochę rozrzucony wyraz, z jakim zwykle ludzie dorośli patrzą na ładne, małe dzieci.

Urzędniczka wypisała receptę, odcięła marki, wydała kilka halerzy reszty i podsunęła to wszystko Józji, ciągle nie spuszczać z niej wzroku.

Otworzyła już nawet usta, jakby chciała coś do niej jeszcze powiedzieć, ale dała spokój. Tem więcej, że nie było czasu. Do okienka cisnęli się inni interesanci. Za jakąś służącą i damą w krótkiej spódnicy stała tam uboga ubrana staruszka, w czarnej chustce na głowie. Trzymała w ręku dwa dwudziestokoronowe banknoty i trochę drobnej monety. Nie pchała się, nie przypominała o sobie, cicho czekała swojej kolei, choć widać było, że stanie wywołuje dotkliwy ból w opuchłych nogach.

Larchówna zwróciła się do niej odrazu.

— Pani posyła pieniądze do syna — do niewoli?

Twarz starowiny rozjaśniła się. Szybko podała swoje pieniądze.

— Tak, proszę pani. O! Adres jest tutaj, na tej karteczce. Pani mi napisze adres na przekazie, dobrze? Moja złota paniusi! Bo ja nie dowidzę już trochę i ręka mi się trzęsie...

Larchówna w milczeniu wzięła banknoty, wyjęła przekaz i zaczęła wypisywać adres.

— Co to znaczy? — zawołała obrażona dama w krótkiej spódnicy i wysokich bucikach — to ja mam czekać?! Ja wcześniej tutaj byłam, aniżeli ta kobieta!...

— I ja także, a jakże; nie mam „caszu” czekać — zawtórowała dyszkantem służąca — ja jeżdżę od pani doktorowej!...

Urzędniczka spojrzała na nie. Twardym, obojętym wzrokiem uderzyła naprzód damę w niezwyczajnie modnej spódnicy, a potem służącą pani doktorowej.

— Zaraz załatwię — powiedziała spokojnie — tylko wprzód zaadresuję przekaz tej pani.

Było coś takiego w jej twarzy i głosie, że obrażone kobiety zaprzestały protestów. Przyjrzały się zgarbionym plecóm staruszki, jej chorem, spuchniętym nogom i umilkły.

Józia, która chowała właśnie portmonetkę do torebki, widziała tę małą, charakterystyczną scenkę. Podobało się jej postąpienie Larchówny i zaciekał żywy ruch przy okienku pocztowym.

Ludzie przesuwali się, jak w kalejdoskopie. Co chwila rozbrzmiewał nowy głos:

— Polecony!

— Ekspres!

— Proszę pięć korespondentek!

— Telegram!

— Proszę markę za 10 halerzy.

— Proszę o przekaz!

— Ta paczka na „Feldpost”, proszę pani!

Czarno ubrana, smutna, zapłakana kobieta prosi o blankiet telegraficzny i drżącą ręką kreśli: „Zosia zachorowała. Przyjeżdżaj natychmiast”.

Panienka z grubymi, jasnymi warkoczami dopłytuje się cichym głosem, czy niema listu na „poste-restante” pod „Niezapominajka”.

Mężczyzna w zniszczonym ubraniu, ze spracowanymi, żyłastymi rękami robotnika, nadaje pięćdziesiąt koron.

Śnać ciężko mu było rozstać się z temi pieniędzmi, bo obejrzał kilkakrotnie, jakby z żalem banknot, zanim go wręczył urzędniczce.

Przyszedł żyd brudny, obdarty, na żebraka wyglądający, w załuszczonej, wyświechtanej chalcie i... nadał ciekawie sześć tysięcy koron.

Wśród całego tego chaosu Larchówna doskonale dawała sobie radę. Ręce jej poruszały się zwinnie, wprawnie, pospiesznie. Z zadziwiającą szybkością zgarniała pieniądze, odrywała i przyklejała marki, wypisywała recepty.

Jakieś niezaradnej kobiecie wiejskiej obszyła prędko i zręcznie pakunek płótnem, pomimo, że znowu z innej strony ozwały się sarkania.

Równomierny sposób wykonywania czynności nie zdradzał żadnego zmęczenia. Zakaszła tylko kilka razy suchym, krztuszącym kaszlem, a smagła twarz stała się jeszcze ciemniejsza, przez co wyraźniej zaznaczyły się żółtawe smugi na policzkach.

— Ona musi być dobra — myślała Józia, wychodząc z budynku poczty. — I jakaś taka dziwna... Nie jest właściwie ładna, ale nie zwykła, oryginalna, zajmująca... I te oczy, jak czarne płomienie... Dlaczego ona tak przypatrzyła się na mnie?... Lola mówi, że to dobra znajoma Konrada... Może kochała go... i może on ją... W takim razie powinna mnie nienawidzić!... A jednak nie... ja się chyba nie mylę... W jej spojrzeniu nie było nienawiści...

— — — — —
— Boże! Żebym się tylko nie spóźniła na obiad.

Józia wbiegła z pospiechem do sieni, zanim jednak zdążyła wstąpić na pierwszy stopień schodów, posłyszła za sobą głos kobiety, wołający.

— Proszę pani!... Proszę pani!...

Zatrzymała się i odwróciła głowę. Zobaczyła młodą jeszcze i dość przystojną kobietę, o drobnej, inteligentnej twarzy. Kobieta ta wyszła widocznie przed chwilą z piwnicy, bo dźwigała wiadro, pełne węgla, za ciężkie stanowczo na jej siły. To też dyszała zmęczona, a na twarz wystąpiły rumieńce wysilenia.

— Czem mogę pani służyć? — zapytała Józia.

Kobieta postawiła wiadro na ziemi i odetchnęła głęboko.

— Czy mam przyjemność mówić z panią Konradową Żarnicką?

— Tak jest — odparła z przyjemnym uśmiechem zadowolonej młoda mężatka. Tytuł Konradowej Żarnickiej mile zabrzmiał w jej uszach.

— Pani pozwoli, że się przedstawię. Jestem Ogrodzińska, tutejsza lokatorka. Mieszkam ot tu, na parterze... Przepraszam bardzo, że ośmieliłam się panią zaczepić, ale... mam do pani prośbę...

Rumieńce pani Ogrodzińskiej stały się jeszcze ognistsze.

— Pani ma prośbę?... Do mnie?... — zdziwiła się Józia.

— Tak... Trudno jednak w sieni... Gdyby pani zechciała wstąpić do mnie na chwileczkę...

— Możeby później... — Józia przypomniała sobie znowu o obiedzie.

— Ja pani dużo czasu nie zajmę... Tylko chwilkę... Proszę bardzo, niech pani nie odmawia... — nalegała tamta.

Weszły. Józia przełotne spojrzenie rzuciła na mosiężną tabliczkę na drzwiach i przeczytała: Mieczysław Ogrodziński, urzędnik magistratu.

— Pani pozwoli tutaj, do pokoju... Ja za sekundę... tylko te węgle...

Pokój, do którego gospodyni wprowadziła gościa, służący widocznie za jadalnię i jednocześnie za salonik, był urządzony skromnie, ale wygodnie i z pewnym wytwornym smakiem.

Na ścianach ładne i harmonijnie dobrane reprodukcje, w wazonach dużo, starannie pielęgnowanych roślin kwitnących i zielonych, w rogu duża szafa, pełna książek, meble gładkie, gustowne i tak jakoś porządnie, że tworzyły miłą dla wzroku i zaciśną całość.

— Dlaczego ta pani sama dźwiga węgle — zastanawiała się w duchu Józia — taka wąta i delikatna... i przecież żona urzędnika... Nie mogłaby to słudze kazać... Ale czego ona może chcieć odemnie...

Ogrodzińska ukazała się znowu. Zrzuciła poplamiony fartuch kuchenny i weszła ubrana w ciemny perkalowy szlafrok, na który opuściła ręce małe wprawdzie i kształtne, ale zgrubiałe, zniszczone, wykazujące aż nadto wyraźne ślady bliskiej styczności z balia, z garnkami i z piecem kuchennym.

— Jeszcze raz przepraszam panią bardzo, że zajmuję pani czas, ale pani ma w sobie coś takiego, co ośmiela... Ja chciałam już zwrócić się do panny Żarnickiej, ale ona taka jakaś nieprzystępna...

Urwała, bo w tej chwili dał się słyszeć głośny syk. To w kuchni jakiś płyn wylewał się na gorącą blachę.

Ogrodzińska chwyciła się za głowę.

— Boże wielki! — krzyknęła — Zupa mi wykipi!...

Kiedy po chwili wróciła z kuchni zadyszana, rozczzerwieniona, Józia zauważyła naiwnie:

— Że też to sługa nie przypilnuje kuchni jak należy...

Ogrodzińska wzruszyła ramionami.

— A gdzieżby ja teraz sługę utrzymać i żywić mogła? Nawet na posługaczkę mnie nie stać. Czy pani wie, co to znaczy gospodarować